

Terala Zachodnia, południowy brzeg Wedry, ziemie grodu Szyszak, 23 sierpnia

Lestek biegł. Nigdy w swoim życiu, czyli całe siedem lat, nie biegł tak... bardzo. Nie czuł poranionych bosych stóp, ani uderzeń gałęzi na twarzy, nawet kiedy gałązka dzikiej róży boleśnie szarpnęła za długie, jeszcze przedpostrzyżynowe kosmyki. Bał się tylko, że się udusi, bo płacz rozsadzał mu płuca.

Nie zauważył też, kiedy się wywrócił, korzeń zgniótł ścięgna i wybił mały palec u stopy. Chłopak przekoziółkował, zsunął się miękko po mokrych od deszczu liściach, które przykryły go częściowo, wpadając do oczu i ust.

Znieruchomiał.

Byli tuż obok. Tuż za nim. Skulił się, słysząc charczący okrzyk, miał wrażenie, że to krzyczy mu pod czaszką, że jak zamyka oczy, to widzi nad sobą podeszłe czerwienią, pełne wściekłości spojrzenie.

Ciężkie tąpnięcia, od których niemal drżała rozmoknięta ziemia.

Lestek otworzył usta i wpił je we własne przedramię, żeby stłumić krzyk, którym inaczej by się zapewne udusił.

Przebiegli obok.

Ktoś ryknął.

Ktoś mu odpowiedział.

Kroki wróciły z powrotem, tuż nad wykrot, w którym leżał.

- Ugrhruk! Rozkaz był! Wracać!

Trochę dalej ktoś warknął ze złością. Jeszcze dalej ktoś coś odkrzyknął.

Lestek pisnął cichutko, niemal gryząc własne przedramię.

- Cicho! Coś tu....

- Zostaw to, Horghak! Wracać, to wracać!

- Cicho, coś...

- To deszcz na liściach, odpuść sobie. Wracać!

Kroki ruszyły, ziemia drgała coraz słabiej. Krzyki cichły.

Chłopak opuścił rękę, biorąc wreszcie oddech, tłumiony szloch wreszcie zyskał przewagę nad panicznym strachem i uciekinier zaniósł się płaczem, obezwładniającym, niepowstrzymanym dziecięcym płaczem.

Gdy się ocknął, dzień był już w pełni.

Nogi zabołały potwornie, gdy tylko nimi poruszył, ale był zbyt wyczerpany, żeby płakać. Na czworakach wylazł z wykrotu.

W dół... Tylko to był w stanie sobie przypomnieć. Tatko mówili, że w dół, cały czas idź w dół stoku, do strumienia i dalej wzdłuż strumienia. Nie zatrzymuj się. I nie oglądaj za siebie.

Nie oglądał się.

Las kończył się pasem kolczastych zarośli, za którymi była łąka, obszerne pastwisko. Był tak zobojętniały na wszystko, że nie przejął go nawet widok namiotów i wiat, rozłożonych w dolinie. Nawet gdy czyjeś ręce złapały go i podniosły, gdy ktoś otulił go kocem.

Coś mówili.

Miał iść w dół. Tam znaleźć mamę i siostry.

Czy to już tu jest "dół"?...

Chciał zapytać, ale nie miał siły.

- Powiedział coś...? – Borzemila wymownym ruchem podała haftowany pled, który przyniosła z własnego namiotu – Jest pewnie z obozowiska smolarzy pod Wysoczną.

- Może tak być. Niech śpi – mruknął Swadźbor, przykrywając chłopca, raz jeszcze dotknął jego czoła przez chwilę nasłuchiwał oddechu – Nic mu nie jest, poza siłą drobnych zadrapań i wybitym paluchem u stopy. Musiał uciekać w panice. Może niedźwiedzia spotkał czy co.... Albo wilcy go pogonili.... Ciężmiem się tylko na las ogląda, stęka coś, pokazuje, że straszne.

- Przedtem coś szeptał o matce, może zgubił się gdzie, czy co...

- Niech śpi. W rogi dęli, chodźmy...

Rzeczywiście, w oddali słychać było głęboki niski dźwięk rogów, rżały konie. W oddali srebrzyły się meandry Wedry, dekorując widok na rozległą dolinę, całą wypełnioną namiotami, chorągwiami, proporcami. I ludźmi.

Pod największą chorągwią grodu Bóbr formował się już oddział, niemal wszystkie rody stawily się na wezwanie, pod swoje znaki. Złotem połyskiwał horodecki proporzec Jastrzębców, a pod nim zaraz symbole kniaziewskiego rodu Gryfów, na znak, że sam książę chorągwie prowadzi. Dalej książę z Bojczów, Draguny znaku Dołęgów, witezie spod Pawęzy, Rysiów, Karęgów, dalej chorągwie grodu Szyszak, książę Beliny, Czerniawici, Kotwicze, Dębiny, witezie z Birkutów, Bończów, a i kmiecie z Kierdejów, Jezierzy, Drzewicy, maszerowali dumnie, pod połyskującymi ostrzami uniesionych nad głowami włóczni.

Na zachód zaś widać było w oddali powód tego zgromadzenia.

Niczym mroczna groźba, sunął wzdłuż rzeki lśniący żelazem i zielenią chorągwi wąz, kolumna wojsk powoli maszerujących ku dolinie. Widać było nawet z takiej oddali, jak od owego węża oderwał się oddział pod proporcem gwiazdzystym Federacji, a z drugiej strony chorągiew kniaziewska Jastrzębców uniosła się i załotała na wietrze wraz z ruchem jeźdźca który ją niósł.

Obie reprezentacje spotkały się na otwartym polu, widoczne doskonale przez obie armie, choć słów niemożliwym było z tego dystansu słyszeć, to symbolika gestów była tak wymowna, że i z daleka dało się ową osobliwą rozmowę zrozumieć.

Szkarłatny płaszcz i srebrnobiałe włosy kniazia doskonale były rozpoznawalne i gdy uniosł w górę ręce, jakby gestem chciał odgonić napastników, zdawać się mogło, że ziemię samą uniesie tym ruchem, jak to zwykle magowie czynią.

Ale ziemia się nie uniosła. Książę wymownym gestem wskazał na proporzec z gwiazdą modwitową, a potem wskazał ku górcom, gdzieś na południowy wschód, gdzie za szczytami Maegrosu leżało sanktuarium w Viran, po czym w pierś się uderzył otwartą dłonią i ręce szeroko rozłożył, jakby mówił - ja jestem ten, który waszego boga ocalił. Mi przed Modwitem przysięgaliście nigdy ręki nie podnieść na mnie, a oto ja wam stoję na drodze i po trupie moim jedynie przejść możecie.

Wergundzki magnifer głową pokiwał, jakby potwierdzał te słowa, na kolumnę niezmierną za swoimi plecami wskazał, rękę w pancernej rękawicy zaciśniętą w pięść uniosł, za nim zagrzmiały trąby i bębny zadudniły, a kolumna się zatrzymała. Dostojnik skłonił głowę przed książęciem. Po czym rękę w stronę gór wyciągnął.

Derwan odwrócił się w siodle, on i wszyscy mu towarzyszący, a z nimi wraz odruchowo wszyscy patrzący, by zobaczyć, co tak uwagę zwróciło.

Borze miła nie patrzyła jednak, bo z namiotu właśnie, obudzony pewnie dźwiękiem rogów i nagłym poruszeniem w obozie, wybiegł siedmioletni chłopiec, krzycząc coś i płacząc. Kobieta złapała go w pól i przytuliła, nieruchomiejąc na chwilę.

Aż zrozumiała co dziecko mówi.

- Idą tu! Tutaj idą...! Idą! Uciekajcie!

- Bogowie, miejcie nas w opiece... - szepnął Swadźbor, patrząc na czarny obłok dymu, unoszący się nad szczytami. Wokół gwar się podniósł, szum głosów niepewnych i zaniepokojonych, a przez niego przedarł się ostry krzyk:

- Ludy! Ratujcie się! Ratujcie swoje domy! Orkowie z gór schodzą, watahy całe, osady palą, ludzi wycinają! Wracajcie ratować swoich! - kilku jeźdźców z kilku różnych stron, wołając i wskazując na rosnące kłęby dymu, kłusowało przez obozowisko, choć nikt nie wiedział, z którego znaku ani rodu są, nikt się nad tym nie zastanawiał - Wracajcie do swoich domów, Wergundowie nie chcą was atakować, wracajcie ratować rodziny przed orkami!!

Gwar błyskawicznie zmienił się w krzyk i chaos, gdy ludzie rzucili się do swoich obozowisk. Chorążowie przekrzykiwali się przez to z trudem, formując szyki, jakby z lasu zaraz wyjść miały watahy brązowoskórych wojowników. Nikt z lasu jednak nie wyszedł. Tylko jak okiem sięgnąć na południowym brzegu Wedry rozkwiatały kolejne kłęby dymu jak czarne kwiaty pożogi.

Nikt już nie patrzył, jak książę Derwan spina wierzchowca, galopem wracając do swoich, próbując powstrzymać rozchodzące się, topniejące chorągwie.

Wergundzki magnifer także wrócił do swoich.

Olbrzymia kolumna wojsk zatrzymała się, niespiesznie, cierpliwie, jak czekający na zdobycie drapieźnik.